

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

16 Nabożeństwo nie zaczęło się jeszcze, ale kościół był już przepełniony.

Ławki zajmowali co przedniejsi i bogatsi go spodarze i gospodynie i wogóle arystokracja wiejska, a więc młynarz, wójt, pisarz gminny, karczmarz, sklepikarz...

Od ołtarza aż ku wyjściu klęczały zwartym tłumem kobiety i dziewczęta, jaśniejąc różnobarwną tęczą krasnych chustek i nieskazitelną czystością świeżo upranych i sztywno wykrochmalonych kaftaników.

Poza niemi, tuż pod chórem, zbili się w gromadę mężczyźni, również czysto umyjni, porządnie przyczesani i ogoleni i odświętnie wystrojeni.

Wojna przerzedziła jednak tę gromadę, która zajmowała zwykle miejsce pod chórem. Wielu z pośród niej porwała i uniosła daleko tam, gdzie świeżą kule na polu bitwy.

I w ławkach przeważały kobiety, a obok nich widać było prawie wyłącznie starszych mężczyzn — siwe lub siwiejące głowy i twarze zorane zmarszczkami. Gdzieniedzie tylko błysnął siwy mundur „urlopnika“, ciągnąc ku sobie oczy ludzkie.

Pod ścianami koło konfesyonałów, tłoczyli się niedorośli chłopcy.

Stamtąd to szły szepty i głośnie szurania nogami — w tamtą to stronę zwracały się surowe spojrzenia i ostre napomnienia starszych.

Szczególnie jeden chłopiec o puciołowatej twarzy i szarych, śmiałych oczach zachowywał się bardzo niesfornie. Ustawicznie coś szeptał, popychał towarzyszy, uśmiechał się i rozglądał wokół.

Już nawet inni chłopcy szeptali:

— Jasiek! Co ty wyrabiasz?... „Krzysz“ ojciec Kobylski się patrzy!... Uspokój się, a dy to kościół! Ale Jasiek lekceważył te napomnienia i broił dalej.

Zniecierpliwiło to ostatecznie Walentego Kobylskiego. Stary gospodarz aż poczerwieniał z oburzenia, powstał i pochwycił psotnika silnie za ucho, mówiąc przyciszonym głosem:

— Poczekaj „śpiku“, nauczę ja cię kościół Boży szanować, kiedy cię matka tego jeszcze nie nauczyła!

Kobylski poprowadził czerwonego ze wstydu, jak burak, chłopaka do zakrystyi.

To doraźne skarcenie Jasika nie pozostało bez wpływu na innych jego towarzyszy. Chłopcy uspokoiili się, przyciszyli, spowaźniali.

Dziewcząt nie trzeba było karcić, ni strofować. Klęczały one poważnie i spokojnie. Jedne przesuwały ziarnka koronek, inne, starsze trochę, otwierały z nabożnem skupieniem książeczki. Niektóre zerkwały wprawdzie ciekawie tu i ówdzie — czyniły to jednak bardzo nieznacznie i dyskretnie.

Większość kobiet, zarówno starszych, jak młodszych, dzierżyła w rękach wielkie snopy ziół polnych.

Powietrze kościoła przesyczone było mocnymi, zmieszanyimi zapachami mięty, rumianku, bożego drzewka, piołunu...

Jak co roku, święcono w kościele w dzień Matki Boskiej Zielnej wonne zioła, aby je ponieść do domów, jako ochronę od chorób wszelkich.

Pogańskie święta lata, zjednoczone z najwyższą czcią chrześcijańską dla Tej, która Królową jest i Opiekunką wszystkich ziół i kwiatów, co rosną, kwitną, wonieją po polach, na łąkach, w lasach, nad strumieniami...

Odśpiewano już różaniec. — Teraz stary chłop, w wielkich okularach na nosie, zaintonował basowym, trochę ochrypłym głosem pieśń, którą chór natychmiast podchwycił:

„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi,
Niech Cię płacz sierót do łitości wzbudzi“...

Nie był to śpiew zgodny i czysty, głosy w tym chórze nie były harmonijne.

Często cienki głosik dziecięcy zapóźno podchwytował nutę — to znów jakiś ochrypły bas usiłował wyprzedzić innych, albo też piskliwy głos kobiety psuł harmonię.

Lecz wszystkie te głosy: piskliwe i basowe, dzweczne i chrapliwe, zlewały się w jeden ton szczególnej, żarliwej modlitwy, która rwała się z serc prostych i naiwnych, błagając „Serdeczną Matkę“ o opiekę i zmiłowanie.

Kościół był już tak szczelnie zapchany, że ci, którzy później nieco przyszli, musieli pozostać w przedśionku.

Zapełniła się także ławka nauczycielska. — Na brzegu jej siadł Michnik, który rzucał niecierpliwe spojrzenia na pustą jeszcze kollatorską ławkę dworską.

Nareszcie twarz nauczyciela rozjaśniła się radością. Do kościoła weszła przez zakrystyję Walczakowa, a z nią Ludwik Rażycki i Józia Maliniewiczówna, jasna, świeża, urocza, w białej, batystowej sukni.

W chwilę później ukazał się ksiądz. Stary proboszcz wstąpił na ambonę i zaczął kazanie.

Rażycki usiadł obok Józii, rzucił spojrzenie na kościół i... zdumiał się.

Pomiędzy Michnikiem i żoną kierownika szkoły, małą, szczupłą kobieciną, w staroświeckiej mantyli i niemodnym kapeluszu z wielkimi kwiatami, siedziała Hela Lidzińska.

Młoda panna ubrana była bardzo poważnie, zupełnie czarno, co podnosiło jeszcze jej urodę.

Ludwik poczuł, że nagle zrobiło mu się jakoś przyjemnie i wesoło. Ucieszył się, jak gdyby odnalazł zgubę, której długo szukał.

— Więc ona tutaj jest nauczycielką! Co za dziwny przypadek! Nie! To już chyba jakieś przeznaczenie!... Doprawdy, można stać się fatalistą i to nawet chętnie, jeżeli fatum ma takie oczy... — pomyślał.

Uporczywie wpatrzył się w Helę, chciał siłą swego wzroku zmusić ją, aby spojrzała na niego... Nie udało mu się to jednak. Panna Lidzińska siedziała spokojnie, patrzyła tylko na księdza i zdawała się bardzo uważnie słuchać kazania.

Proboszcz, który jednostajnym, bezbarwnym głosem, jakby ospale, rozpoczął zastosowane do święta kazanie, w miarę słów własnych ożywał się i rozgrzewał. W głosie staruszka zaczynały drgać gorętsze nuty, w mowę jego wplatały się wyrażenia silniejsze i obrazy bardziej plastyczne. Kiedy zaś od dogmatycznej części kazania przeszedł do praktycznych nauk i napomnień, zapalił się i głos jego nabrał tak potężnych tonów, że wstrząsnął zgromadzonym w kościele tłumem.

Ksiądz mówił o tem, że w parafii jego znalazły się kobiety, które zapomniały o obowiązkach matki i żony, które obrażają Boga i przynoszą wstyd wsi swojej i rodzinie.

Proboszcz gromił i karmił donośnym głosem — niekiedy przerywał, aby zaczerpnąć oddechu. Oczy mu błyszczały, na policzki wystąpiły krwiste wypieki.

— Mężowie i bracia — wołał — na polach bitew krew swoją przelewają, znoszą trudy i niewygody, często głód i chłód, a wy pijecie i stroicie się?! Wy, krwią okupiony grosz na stroje marnujecie i do karczmem nosicie?! To tak ich żałujecie, tak Boga prosicie?! Może teraz, kiedy ja te słowa mówię, albo wczoraj, przedwczoraj, każdej godziny, każdej chwili ginie ktoś z waszych, a wy o pijatykach i hulankach myślicie!... O co walczą żołnierze nasi? O kraj nasz, o ziemię! A tu są takie kobiety, które chcą przehandlować ojcowiznę swoją obcym spekulantom i w konszachty się z nimi wdają!... Ojcowie tęsknią do dzieł swoich, ojczyzna nasza biedna tyłu synów straciła, a wy dzieci zaniedbujecie?!

Słyszycie, wy? Wiecie do kogo mówię! Czy nie zdradzi wam serce?! Mówię wam, poprawcie się, bo inaczej zacieży na was ręka Boska!...

Wszyscy dobrze wiedzieli, że proboszcz ma na myśli Frankę Sojkową, Wikę Kobielinę i kilka innych jeszcze kobiet, które za przykładem Franki po jarmarkach i karczmach z kawalerami włóczyć się poczęły, dom i gospodarstwo zaniedbywać i coraz to wymyślniejsze stroje skupować.

Franka Sojkowa i Wika Kobielina obecne były w kościele i na nie też zwróciły się wszystkie oczy.

Kobielina zawstydzona i przejęta, głowę pochyliła, twarz ukryła w dłoniach i głośno łkała. Sojkowa natomiast ani drgnęła.

Jakby wyzywając całą opinię wiejską, wystroiła się dzisiaj po raz pierwszy w kapelusz, który jej przywiozła Ryfka Weinkraut z Krakowa. Kapelusz ten, fantastycznie wygięty z wielkiem, postrzępionem na zielono zafarbowanem piórem, kosztował trzydzieści koron i w przekonaniu Franki przerabiał ją zupełnie na „panią“, która nie potrzebuje się już liczyć z opinią „chamów“.

To też Sojkowa trzymała głowę wysoko i spoglądała hardo i zuchwale. Podczas kazania przybladła trochę, ale z gniewu. — Usta jej zacięły się i w oczach zapłonęły złe ognie.

Kazanie skończyło się. Ksiądz sięgnął po leżącą przed nim księgę i przeczytał:

„Do stanu małżeńskiego zabierają się następujące osoby: Maciej Zawada, wdowiec, w Zalesinkach urodzony i zamieszkały z Maryanną Pazdurówną,

panną, w Zalesinkach urodzoną i zamieszkałą. Zapowiedź trzecia“.

Teraz niejedna dziewczyna westchnęła smutnie. Poprzednich lat w tym czasie szły zapowiedzi za zapowiedziami, jak to zwykle bywa pod koniec zniw, kiedy ludziska spieszą się, aby się połączyć przed zimą.

A dzisiaj? Zapowiedzi starego, tysego wdowca z młodą dziewczuchą i koniec!

Hanusia Jarząbkówna, najładniejsza ze wsi dziewczyna, przycisnęła rękami powieki, z pod których wytryskały łzy.

Gdyby nie wojna, to i ona „spadałaby“ teraz z ambony i ślub byłby po żniwach, a tak? Staszek w niewoli daleko, gdzieś w zimnych krajach i od kilku miesięcy niema od niego żadnej wiadomości. Bóg tylko jeden wie, czy żyje jeszcze, Bóg tylko jeden wie, czy wróci.

Ksiądz, po ogłoszeniu zapowiedzi, jął czytać zakupione msze, które w najbliższych dniach odprawione być miały:

— Na intencję Andrzeja Guatka na wojnie, na intencję Wojciecha Jarząbka na wojnie, za duszę Walentego Kozika, poległego na wojnie...

I tak dalej szedł spis. Ksiądz monotonicznie czytał nazwiska, przy każdym powtarzając słowa: „na wojnie“.

Tu i ówdzie rozległ się głośny szloch kobiety, jeden i drugi stary ojciec przesunął ręką po oczach.

Proboszcz zszedł z ambony i udał się do zakrystyi.

Teraz dopiero Hela Lidzińska odwróciła głowę i oczy jej spotkały się z oczami Rażyckiego.

Różowy obłok rumieńca przesunął się po twarzy dziewczyny i znikł zaraz.

Hela utkwiała wzrok w kartach swojej książki i przez cały czas trwania nabożeństwa nie spojrzała ani razu w kierunku ławki dworskiej.

— Muszę ją poznać jeszcze dzisiaj — powziął Ludwik mocne postanowienie.

Michnik czekał przed kościołem na panie ze dworu. Ludwik uściśnął mu rękę z niezwykłą serdecznością i zaczął od razu bez wstępu:

— Przybyła panu koleżanka, choć to jeszcze wakacje. I to piękna koleżanka...

— Tak! I ja zauważyłam ją — wtrąciła Walczakowa — To jakaś nowa, pewnie na miejsce Zawiskiej, która wyszła za mąż... Rzeczywiście, twarz prześliczna, a przedewszystkiem niezwykle interesująca.

— To panna Lidzińska z Krakowa — odparł Michnik — była na uniwersytecie, ale rzuciła studia dla pracy nauczycielskiej. Istotnie jest piękna, ale, co ważniejsze, bardzo dobra, sympatyczna i inteligentna, o ile ją poznać zdołam.

— Nie wiem, co wy w niej widzicie tak pięknego... — zauważyła z pewną niechęcią Józia, niezadowolona z pochwał Michnika dla nowej koleżanki — Wcale nie piękna. Znadto blade, poważna, sztywna i oczy ma jak węgle...

Ta niepoehlebna uwaga Józii przeszła bez wrażenia, bo Ludwik, nie słuchając jej wcale, zwrócił się do kuzynki:

— Powinnabyś się poznać z panną Lidzińską, Anielko...

— Jak najchętniej, tem więcej, że poczułam do niej od razu sympatyę...

— To podejdź do niej zaraz bez ceremonii, przedstaw się i rzecz skończona.

— Masz rację, tak też zrobię.

Józia skrzywiła się lekko, ale protestować nie mogła.

Hela wychodziła właśnie z bramy kościelnej. Walczakowa z miłym uśmiechem podeszła do niej i przedstawiła się pierwsza.

Młoda nauczycielka, na której Anielka wywarła bardzo dobre wrażenie, odpowiedziała uprzejmie i znajomość była zawarta.

— Moja przyjaciółka, panna Józia Maliniewicz, mój kuzyn, Ludwik Rażycki — przedstawiała dalej Walczakowa.

Panny podały sobie chłodno ręce, na pierwszy rzut oka poczuły do siebie coś, jakby malutką antypatyę.

Józia obawiała się rywalki, a Heli nie podobały się kokieterijne dyabliki w oczach Józii.

Kiedy zaś Hela witała się z Rażyckim, usta jej drgnęły, jakby od powstrzymanego śmiechu.

— Wiecie państwo co? — zaproponowała wesoło Anielka — niechaj Maciej jedzie sam do domu, a my pójdziemy piechotą. Odprowadzimy po drodze pannę Lidzińską. Gdzie pani mieszka?

— Ot, tu niedaleko, pod górką, u Durulowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).